

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

KSIĘGA I.

D Y M.

6

— Nie może tego powiedzieć, nie znając powodu choroby. Karmela zachorowała, zanim jeszcze wiadomość o śmierci siostry doszła do ich domu. Jakaś straszna scena musiała się rozegrać pomiędzy niemi dwiema, zanim Adela udała się do klubu. Co to była za scena, o tem tylko Karmela może nam powiedzieć i na jej opowiadanie musimy czekać. Na szczęście ty masz alibi, które ci w tym razie wyjść może na korzyść. Byłeś na stacyi w czasie, o którym mowa.

— Czy dowiedziono tego?

— Tak jest; kilku ludzi tam ciebie widziało.

— A ten pan, który mi ten list przyniósł... jej list? — trudno mi było wymówić imię Karmeli — czy ten się jeszcze nie pokazał?

— Dotąd nie jeszcze; przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— A pierścionek?

— O tem nic nie wiadomo.

— A pielęgniarka? Nic mi o niej nie powiedziałeś — nalegałem teraz, wracając do najważniejszej dla mnie kwestyi. — Czy jest to ktoś, kogo znamy, czy też obca osoba, polecona przez doktora?

— Tem się nie zajmowałem. To w każdym razie osoba kompetentna, samo się przez się rozumie. O to ci też pewnie chodzi?

Czyż ja mu mogłem powiedzieć, że mi bynajmniej nie o to w tej chwili chodziło — że w tym wypadku zależało mi raczej na jej zaletach, jako kobiety, niż na jej kwalifikacjach, jako pielęgniarki? Jeżeli to osoba ciekawa, podejrzliwa, podchwytująca każde słowo i gest każdy mającej pacjentki, jakżeż słuszenie obawiać się mogłem oczu jej i uszu wtedy, gdy Karmeli pamięć wróci i gdy stanie się wymowniejszą w swojej rozpacz, niż teraz, gdy wylewa ją w niezrozumiałych okrzykach tylko i w bezustannem powtarzaniu imienia siostry. Tak mnie to niepokoiło, że już gotów byłem zdradzić się z moją obawą — rozmyśliłem się jednak na czas i przemówiłem w te słowa:

— Uważaj na nią, mój drogi, uważaj na nich wszystkich i przynoś mi wszystkie szczegóły i wszystkie wiadomości, dotyczące przebiegu choroby tej biednej dziewczyny. Nigdy nie pożałujesz, Karolu, jeżeli tej prośbie mej zadość uczynisz. Czy zamówiłeś kwiaty dla Adeli?

— I owszem, lilie, tak jak poleciłeś.

Po krótkim milczeniu dorzuciłem jeszcze:

— Nie będzie autopsji, jak piszą dzienniki. Na to, że śmierć nastąpiła przez uduszenie, są dowody aż nazbyt wyraźne i oczywiste.

— To prawda. A jednak ja się dziwię, że oni nie obstają przy autopsji. Były wskazania, że tu i inny czynnik działał także. Te dwa puste kieliszki ze śladami likieru... niewinnego może... ale jednak...

— Już nie mów! Nie zniosę dziś więcej! Jutro może będę silniejszy.

Na twarzy Cliftona odbiło się niezadowolenie; grzeczniemi słowy pożegnał mnie jednak i pozostawił w samotności przed długą nocą posępnych rozmyślań.

KSIĘGA II.

Sweetwater działa.

IX.

NIE WIEMY O TAKIM LIŚCIE.

— I wciąż go jeszcze trzymacie?

— Tak, ale coraz mniej jesteśmy pewni. To jeden z tych ludzi, co to korzystnie usposabiają do siebie, choćby się człowiek przed tem bronil. Niezwykle przystojny, skończony gentleman, ma przytem coś w swem obejściu, co przemawia prosto do serca, pomimo uprzedzenia i zastrzeżeń wszelkich. W takim wypadku jak ten, to niebezpieczny czynnik. Przeszkadza człowiekowi spełniać obowiązki. Pan nie ulegnie temu urokowi, pan mu się niezawodnie oprze, ale przynajmniej zrozumie pan obecne położenie moje i to, dlaczego telefonowałem do Nowego Jorku po biegłego detektywa, by nam w tem zadaniu dopomógł. Pragnąłbym synowi mego przyjaciela dać szansę ratunku.

Człowiek, do którego dr. Perry w ten sposób przemawiał, poprawił się w fotelu i odpowiedział spokojnie:

— Ma pan słusność; i nie dlatego, że to syn pańskiego starego przyjaciela, ładny chłopak i to wszystko — ale dlatego, że każdy człowiek powinien mieć pełną szansę ocalenia, jakiegokolwiek pozory przemawiały przeciw niemu. Osobiście nie lękam się, aby na mój sąd wpłynęły jego powaby. Nazbyt wiele mam do czynienia z pięknymi łotrami. Ale będę dla niego równie sprawiedliwy, jak pan, poprostu dlatego, że aż trudno uwierzyć, żeby człowiek delikatnych uczuć spełnił tak brutalną zbrodnię, a także ponieważ większy kładę nacisk, niż pan, na parę drobniejszych szczegółów, potwierdzających jego ostatnie zeznanie.

— Mów pan dalej, proszę.

— On twierdzi, że jakiś mężczyzna był przed nim w opustoszałym budynku klubowym — jakiś człowiek, którego widział wyjeżdżającego z dziedzińca sankami, w chwili kiedy sam wjeżdżał przeciwną drogą.

— Ach! — wykrzyknął dr. Perry — miło mi słyszeć to, co pan mówi. Umyślnie starałem się na ten fakt nie kłaść zbyt wielkiego nacisku.

— Dlaczego?

— Bo chciałem, by pan samodzielnie wyciągnął swe wnioski. Tak jest, policja znalazła ślady drugiego konia i sanek, które przejechały przez dziedzińce klubu. Padał gęsty śnieg i ślady te niebawem zasypany, ale Hexford i Clarke widzieli je jeszcze i stwierdzili, że ciągnęły się od północnej kępy drzew do górnej bramy.

— To jeszcze nie wszystko. Kuferek, spakowany do drogi, znaleziono w saniach pana Ranelagh, a to dowód, iż opowiadanie o zamierzonej podróży nie było bezpodstawne.

— To prawda. Zatrzymaliśmy ten kuferek. Ale to nie jedyny dowód, że on miał zamiar miasta na jakiś czas opuścić. Pozostał jeszcze oprócz tego odpowiednio różne swoje interesy — co zresztą niczego jeszcze nie dowodzi. Nikt o tem nie wątpi, że zamierzał uciec, wykradając piękną Karmelę; pytanie w tem, czy doznawszy zawodu, zamordował kobietę, która mu w drodze stała?

Starszy sędzia śledczy Fox zastanowił się głęboko i nie spieszył z odpowiedzią. Już się dr. Perry zaczynał niecierpliwić, gdy zauważył spokojnie:

— Sądzę, że żadnego stanowczego wniosku wyciągnąć się nie da ze stanu, w jakim znajdowało się ciało, w chwili, gdy nasi ludzie tam weszli. Musiało być jeszcze ciepłe?

— Tak, ale to samo byłoby, gdyby śmierć nastąpiła o kilka minut wcześniej, niż przypuszczają. Brak tu szczegółowych danych. Przejdźmy do czegoś uchwytniejszego.

— Bardzo dobrze. Oto zaraz. Z sześciu butelek z alkoholem, wykradzonych z klubowej piwnicy, cztery nie otworzone znaleziono na kuchennym stole. Gdzież się podziały pozostałe dwie?

— Ot właśnie! Oto pytanie, które sobie stawiałem od chwili, gdy rozpytywałem rządca i gdy się dowiedziałem, iż gotów jest przysiąc na to, że spis jego jest dokładny i że te dwie butelki zniknęły. Ranelagh ich nie wypróbował, gdyż w takim razie gdzieś koło domu byłyby się musiały te butelki znaleźć. A w takim razie kto?

— Nikt w obrębie samego budynku. Otworzono je i wypróbowano gdzieś indziej. Oto trop — i jeżeli ten człowiek, którego pan sprowadziłeś z Nowego Jorku jest coś wart, to ma przed sobą wyraźne zadanie.

— Trudne zadanie dla obcego — i jeszcze dla takiego obcego! Powierzchność mało ujmująca... Ale dobre ma oko i mam wrażenie, że da sobie radę. Żadnej drażniącej pewności siebie — może nie dosyć rozmachu. Czy chciałby go pan zobaczyć?

— Za chwilę. Muszę to sobie wyjaśnić w głowie, jak to tam z temi butelkami być mogło... Tylko nałogowy pijak mógł wyciągnąć te butelki z zimnej, ciemnej piwnicy.

— Tak — i to nadto znawca w tym względzie. Dwie brakujące butelki zawierały najprzedniejszy gatunek z całego zapasu. I schowane były umyślnie w głębi, za innymi butelkami. Ale ktoś wyciągnął je stamtąd i wyniósł, jak pan powiada, i to ktoś, co się widocznie dobrze znał na trunkach.

— Co było w tych czterech butelkach, znalezionych na kuchennym stole?

— Sherry, whisky i rum. Dwie butelki rumu, jedna sherry i jedna whisky.

— Złodziej zamierzał wynieść wszystkie, tylko, że czasu mu widocznie zabrakło.

— Elegancki pan, ten złodziej! Pospolity złodziej, taki, jakich zwykle widzimy, nie byłby wy-

brał tych właśnie butelek. I otóż znów mamy! Sprzeczności na każdym kroku.

— Nie dajmy się zrażać sprzecznościom, ale idźmy dalej za tropem... Musimy odszukać te butelki, czy pełne, czy puste. Zna pan ich etykiety?

— Znam. Znam też i kształt i kolor butelek — i kształt i kolor miały specjalny.

— To dobrze! A teraz pokaż mi pan swojego detektywa.

Sweetwater jednak nie został jeszcze przyzwany.

Właśnie w chwili, gdy dr. Perry miał nacisnąć dzwonek, otworzono drzwi i wszedł Mr. Clifton. Dobrze znany tym panom i cieszący się ich uznaniem, bez trudności przedłożył im swój interes i swoją prośbę.

— Jestem tutaj w interesie Elwooda Ranelagh — przemówił. — Elwood Ranelagh przyznaje i ja również — że w danych warunkach zaareztowanie jego mogło być pozorami winy uzasadnionem, ale nie jest uzasadnionem dalsze przytrzymywanie go w areszcie. On nie stara się uniewinnić z błędów, które popełnił z różnych win, do których się poczuwa.

Najlepsi nawet jego przyjaciele muszą go potępić za nieszczerść i bałamutne, lekkomyślne postępowanie jego w stosunku do Miss Cumberland; jednakże on przysięga, że ręki do gwałtownej śmierci jej nie przyłożył, i w to ja mu wierzę, nie tylko przyjmuję to, ale i wierzę. Na tej zasadzie opieram akcję moją w jego sprawie i przyszedłem prosić panów o pomoc w rozjaśnieniu dwóch okoliczności, które także na wasze, panowie, przekonanie o winie jego wpłynąć mogą.

— Mnie, jako obrońcy jego, udało się wyciągnąć z niego parę szczegółów, które na razie zataił przed policją. Ze od samego początku skąpym był w zeznaniach, to przeciw niemu nie przemawia, raczej przeciwnie, zważywszy, czemu dla niego były obie damy, w tragedję tę zamieszane. Pomimo to zwierzył mi okoliczność, która w zamieszaniu, wynikającym z nagłego zasłabnięcia Miss Karmeli Cumberland, uszła z łatwością uwagi rodziny — i policji naturalnie także.

Odchrząknął. Dr. Perry i Mr. Fox czekali z zainteresowaniem.

— Pierścionka zaręczynowego nie było na palcu Miss Cumberland, gdy Ranelagh znalazł ją — jak twierdzi — już bez życia. Pierścione ten miała na palcu jeszcze przy obiedzie — oryginalny pierścione, który ja nieraz widziałem i który, gdyby było potrzeba, mógłbym dokładnie opisać.

— Mogła go zdjąć przedtem! — zauważył Mr. Fox.

— Jeżeli go zdjęła, zanim się wybrała do klubu, łatwo go można będzie odnaleźć. Ale jeżeli nie, jakież to trop dla odkrycia nieznanego mordercy! Aż dotąd pan Ranelagh przypuszczał, że otrzyma ten pierścionek w liście, pisanym przez nią, zanim wyszła z domu. Ale takiego listu nie otrzymał, więc przypuszcza, że może przejechaliście go panowie?

— Nic nam o tego rodzaju liście nie wiadomo. Zaden taki list do jego mieszkania nie nadszedł — odpowiedział sędzia śledczy.

— I ja to przypuszczałem. Należałoby zatem dojść, co się z tym pierścionkiem stało i gdzie on się znajdować może. Przepraszam, że pozwalam sobie zwrócić uwagę panów na to. Jako prawnemu doradcy pana Ranelagh bardzo mi na tym pierścionku zależy.

— Bardzo dziękujemy panu za tę uwagę — odpowiedział Mr. Fox — Jednakże niech pan pamięta, że osłabia jej znaczenie взгляд, że to sam oskarżony ją poddaje.

— To prawda; ale dopiero po godzinie usilnej nad nim pracy, naprowadziłem pana Ranelagh na to, by o tem mówił. Poza stanowiskiem, jakie zajął, kryje się jakaś tajemnica, której ja przynajmniej aż dotąd nie zgłębiłem. Czy pan tego nie zauważył, panie sędzio Perry?

— A więc on ma inną jeszcze tajemnicę, oprócz tej, która ściągnęła na niego uwięzienie, jako na podejrzanego o morderstwo? — podchwycił Mr. Fox.

— Tak jest — gdyż zresztą dlaczego zacinąłby się tak przy najprostszych pytaniach? Mam swoje domysły, jakiej to natury może być tajemnica, ale nie po to przyszedłem, żeby wyrażać tu moje domysły. Przyszedłem tu celem przedstawienia faktów, które się dadzą zużytkować.

— W interesie pańskiego klienta?

— Ale zarazem i w interesie sprawiedliwości.

— Być może. Będziemy szukali tego pierścionka, panie Clifton.

— Tymczasem zaś może zechcecie panowie spojrzeć na te szczątki kartki, którą, jak Mr. Ranelagh twierdzi, otrzymał od Miss Karmeli Cumberland, w chwili, gdy na peronie stacyi oczekiwał jej przybycia.

I wyjąwszy z kieszeni kopertę, Mr. Clifton wy-